

ROZDZIAŁ 11

Michał 'Veron' Tusz

Trzynastką, część 6

13

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć pokonywali Namysłowskie Bory w typowym dla siebie milczeniu. W ciszy cieszyli się z pięknej, wiosennej pogody, tak samo przeżywali wszystko, co do tej pory przeżyli. A przeżyli przecież niemało, o czym dowiedziałeś się, drogi Czytelniku, na poprzednich stronach tej opowieści. Nie wiedzieli, jak długo będą musieli przemierzać polskie pustkowia. Nie wiedzieli dokąd dojdą; czy znajdą to, czego szukają. Zaczynali wątpić, czy wiedzą w ogóle, czego szukają. Czy to samo spotkało poprzednią ekspedycję?

Spotkanie z rodziną Krajanów było wyjątkowe. Każdy człowiek, którego spotkali na swojej drodze z góry Wolarz w Sudetach odcisnął na nich jakieś piętno. Podobnie było i z Krajanami. Doświadczyli tego przede wszystkim Ariel i Oliwia. Chłopak kilkakrotnie zabierał się do rozmowy z dziewczyną, jednak ostatecznie postanowił, że zachowa to co usłyszał dla siebie. Oliwia mogła poczuć się niezręcznie, a nawet oszukana i mieć do niego uraz. Nie chciał tego. Niech to pozostanie ich intymnym sekretem. Ich i Natalii Krajan.

Pod wieczór dotarli do starej trakcji kolejowej, tak jak instruował ich Stanisław Krajan. Przeszli wzdłuż niej jeszcze jakieś cztery kilometry, noc spędzili na opuszczonej stacji kolejowej. Owej nocy ich uszu dobiegło z oddali coś, czego nie słyszeli dotąd podczas swojej wędrówki – głosy zwierząt. Przypominało to szczekanie psów. Było ich raptem kilka, ale i tak spędziło im sen z powiek na długie godziny. Rankiem ruszyli dalej.

Następnego dnia po kilku godzinach marszu dotarli do obiecanej przez pana Krajana Czernicy, po drodze mijając całkowicie zrujnowane miasto Jelcz–Laskowice. Czernica nie prezentowała się lepiej. To odróżniało miejscowości z Dolnego Śląska od tych spod granicy – były niemal kompletnie zniszczone. Mogli się tylko domyślać z jakiego powodu.

Minęli dość leniwie płynącą Odrę, po raz drugi w trakcie wędrówki. Zatrzymali się na starym moście, który jakimś cudem ocalał z wojennej pożogi. Pomyśleli, że mają sporo szczęścia, w przeciwnym razie byłoby im bardzo trudno pokonać rzekę. Odra odzwierciedlała nastroje powojennego społeczeństwa. Żyła, bo musiała. W permanentnym smutku, lecz wciąż płynęła dalej. Następnego dnia dotarli do dawnej autostrady i skierowali się na północ, w stronę mającego w oddali Wrocławia.

W Bielanych natrafili na kolejny zablokowany wjazd do Wrocławia. Zauważyli, że na każdej drodze prowadzącej do miasta prędzej czy później ustawiona była blokada z drutu kolczastego. Nie wyglądało to zachęcająco i choć nie napotkali na swojej drodze żadnych ludzi nie odważyli się przekroczyć zasieków. Autostrada kierowała ich na zachód. Postanowili z niej zejść i dalej okrążyć miasto. W ten sposób dotarli do Smolca.

Wątpliwej jakości architektura, jeśli można tak określić walający się wszędzie gruz i niszczone budynki ustawione wzdłuż szerokiej ulicy, biegnącej przez środek Smolca, nie odróżniała miasteczka od pozostałych, które zobaczyli przez ostatnie dni. Różnicę stanowili ludzie.

Tak, wreszcie dotarli do miejscowości, w której – zdawało się – żyli zwyczajni ludzie. Nie grupa wojowników, nie starcy pod dowództwem dawnego polityka, nie kontrolowani przez fanatyka pół-zombie. Od chwili wejścia mieszkańców Dziewiątki do Smolca towarzyszyły im spojrzenia wałęsających się tu i ówdzie mieszkańców miasteczka, starych, młodych, a nawet dzieci. Co więc było nie tak?

Ariel i pozostali powoli przechodzili przez wioskę, ostrożnie przypatrując się tubylcom. Każdy był w mniejszym lub większym stopniu zaintrygowany pojawieniem się nieznajomych, ale żaden nie kwapił się, by zapytać, kim są. Odprowadzali ich pustym wzrokiem, po czym przechodzili do codziennych spraw. Ktoś nieśmiało się uśmiechnął, ktoś inny zamienił słowo z sąsiadem. Ale... nikogo tak naprawdę nie obchodziło, że w ich domu zjawił się ktoś nieznany.

Mieszkańcy Dziewiątki postanowili się naradzić.

– Nie wiem, co jest z tymi ludźmi, ale... – Ariel zadrżał. – Ciarki mnie przechodzą, jak na nich patrzę.

– Fakt, dziwaczni są – dodał Dziadek.

– Ale skoro już tu jesteśmy, może warto się popytać? – zaproponował Kapłan.

– Masz rację – odparł Ariel i rozejrzał się wokoło. – Chyba mają tu jakiegoś lidera, nie?

– Trzeba się zapytać – powiedziała Oliwia i podeszła do najbliższego domostwa, przed którym z niczego niemówiącą miną stała kobieta w średnim wieku. – Przepraszam, czy mogłaby nam pani wskazać drogę do... kogoś kto... opiekuje się waszym miastem?

– To dobre pytanie – odparła kobieta, po czym weszła przez otwarte drzwi do domu.

Oliwię zamurowało. Odwróciła się kompletnie zbita z tropu i z otwartymi ustami patrzyła na przyjaciół.

– Co tu się wyprawia? – powiedział Ariel.

Dziadek zachichotał.

– Nie no, przecież... – Ariel pomaszerował do domu vis a vis. Dojrzał dwóch mężczyzn siedzących na resztkach werandy. – Przepraszam, panów, powiedzcie mi, kto tutaj dowodzi?

– Nie bądź taki szybki Bill – odparł starszy z nich, a młodszy dodał:

– Ładny dzień, prawda?

Dziadek nie wytrzymał i roześmiał się w głos.

– Chyba niewiele się od nich dowiemy – rzekł, ocierając łzy.

Tym razem Kapłan podszedł do drewnianego domku, z okna którego wyglądała starsza pani.

– Dzień dobry... – zaczęła, ale ona przerwała mu:

– Komuno wróć!

Zatrzasnęła okno. Tymczasem do Ariela podbiegło troje dzieci, które zaczęły się przekrzykiwać.

– Cześć!

– Pobawisz się ze mną?

– Ona rzuciła we mnie kamieniem!...

– Wiedziałaś, że ktoś ukrył narzędzia pod gładem?

– Daj mi rękę!...

– Aua!

Jak szybko się zjawiły, tak prędko zniknęły. Mieszkańcy Dziewiątki byli zdezorientowani.

– I co robimy? To jakaś wioska szaleńców – rzekł Dziadek.

– Nic tu po nas – odparł Ariel. – Niczego konkretnego się od nich nie dowiemy. Kto to w ogóle jest?

– I co im się stało? – zastanawiała się Oliwia.

– Nie przypomniał się wam Kościelec? – zapytał nagle Kapłan.

Spojrzeli po sobie. Poczuli się nieswojo. Kibolów już nie było, ale...

– Wynośmy się stąd.

– Ariel?

Usłyszał swoje imię. Błyskawicznie odwrócił się. W ich kierunku szedł człowiek w jasnym kombinezonie. Skąd on znał ten głos?

– Ariel, jak mamusię kocham!

Ariel przypominał sobie.

– Niemożliwe...

– Jak to nie, stary!

– Albert?!

– No, jacha!

Zrobiło się małe zamieszanie. Ariel podbiegł do dawnego przyjaciela. Uścisnęli się. Znaleźli lidera pierwszej ekspedycji z Dziewiątki!

– Co ty tu robisz?!

– Wyruszyliśmy was szukać!

– Jak to?!

– No tak! Wysłali drugą ekspedycję!

– Cholera!...

– A mnie jeszcze pamiętasz? – dobiegł ich głos z za pleców.

– Oliwka! Przecież to Albert!

– Cholera!... Oliwka jest z wami!

Albert nie mógł uwierzyć. Spoglądał na nią szeroko otwartymi oczyma.

– Oliwka...

– No... cześć – powiedziała, uśmiechając się.

– Niesamowite. Jak tutaj trafiliście?

– Długo by opowiadać.

– A Dziadka i Kapłana pamiętasz?

Albert spojrział na dawnych współlokatorów Schronu Numer Dziewięć. Ale zdecydowanie bardziej był zainteresowany dziewczyną.

– Pewnie. Nie znaleźliśmy się zbyt dobrze, ale... Nie wierzę!

– No to uwierz! – Ariel klepnął go mocno w plecy.

– Od kiedy tak idziecie?

– Będzie już trzeci miesiąc.

– Ale numer...

Usłyszeli kroki za sobą. Zbliżyły się do nich trzy osoby w podobnych jak on białych strojach. Z zaciekawieniem spoglądali na siebie. Jeden z nich rozpoznał.

– Niech mnie...

– Benny...

– Jasny gwint w mordę kopany... Ariel – odparł wygolony niemal na łyso, ale z obfitym zarostem na twarzy, niski, barczysty mężczyzna.

Przywitali się. W międzyczasie zbliżyła się do nich jedyna spośród nieznanomych kobieta. Dziewczyna w ich wieku. Podeszła do niego i

złapała go czule za ramię, przyglądając się nieznanym sobie osobom. Oliwia instynktownie odsunęła się o krok.

Ariel dopiero po chwili zauważył niezręczność całej sytuacji. Spojrzał pytająco na Alberta. Ten zmieszał się.

– To jest Marta. Martusiu, to są moi przyjaciele ze schronu, z którego pochodzę.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Oliwia wbiła wzrok w ziemię.

– Słuchajcie, zapraszam was do mojego domu. Naszego domu – poprawił się, spoglądając z uśmiechem na Martę. – Mamy sobie tyle do powiedzenia.

Ariel zawahał się. Oliwia szybko odpowiedziała:

– Oczywiście, bardzo chętnie.

Albert przedstawił jeszcze jednego ubranego na biało mężczyznę, który jednak szybko ich opuścił. Skierowali się za Albertem i Martą, którzy obejmując się poszli przodem. Ariel położył dłoń na ramieniu Oliwii, ale ta tylko pokręciła smutno głową. Zostawił ją w spokoju. Radość ze spotkania ze starym znajomym uleciała tak szybko jak się pojawiła.

W domu Alberta i Marty wszyscy zasiedli do stołu. Gdy nowa partnerka Alberta krzątała się w kuchni, Ariel poprosił Alberta na stronę.

– Wyjaśnisz mi to?

– Nie ma czego wyjaśniać – odparł beznamiętnie. – Zostawiłem tamto życie. Zrezygnowałem z niego. Kiedy tylko zorientowałem się, że cała ta ekspedycja to lipa, nie chciałem już wracać.

– Jak to... „ekspedycja to lipa”?

– Jesteście potwierdzeniem moich słów. Nie zamierzam się przed nikim tłumaczyć.

Ariel rozzłościł się.

– Mógłbyś chociaż z nią porozmawiać – wycedził przez zęby. – To dla ciebie z nami poszła.

Albert nie odpowiadał. Unikał kontaktu wzrokowego z Arielem. Z opresji wybawiła go Marta, prosząc o pomoc w przygotowaniu kolacji. Odszedł, a Ariel usiadł za stołem. Co jakiś czas rzucał spojrzenia Oliwce – była nieobecna, jak wówczas, gdy zabijała Kajetana Webera.

– No to... opowiadajcie – rzekł Albert z uśmiechem, gdy przygotowano już posiłek i wszyscy siedzieli przy stole.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Co jest? – Roześmiał się. – Nie macie nic do powiedzenia po tak długiej podróży?

– Jak długo szliście, przypomnijcie mi? – zapytał Benny.

– Kilka tygodni – odrzekł Ariel. – Ruszyliśmy jakoś na początku marca.

– Was też wysłali do Czech? – powiedział Albert.

– Tak.

– No właśnie. Banda morderców...

– Co masz na myśli?

– Rada Schronu – wyjaśnił Albert. – Zrobili to celowo, bo wiedzieli o murze i aktywnych strażach.

– Celowo? Po co?

– Żeby się nas pozbyć – odparł Benny.

– Nie rozumiem... – Ariel zmarszczył czoło.

Albert westchnął.

– W schronie wszystko działa jak należy. Jest za dużo ludzi. To ich sposób na odchudzenie populacji.

Zapadła cisza. Nawet Oliwia podniosła wzrok i wpatrywała się w dawnego chłopaka.

– O czym ty mówisz? – szepnął Ariel.

– Głowiliśmy się nad tym kupę czasu – rzekł Albert. – Pomyśl sam, wszyscy pomyślcie – czy przedstawili realne dowody na to, że jakakolwiek maszyna siadła? Wszystko było ukartowane.

– Ale przecież... zasilanie... oczyszczanie wody... – zaczął Dziadek.

Albert pokręcił głową.

– To można było zmanipulować.

– No i jest coś jeszcze – powiedział Benny. – Nie ma Schronu Numer Trzyście.

– Co?! – krzyknęli wspólnie Ariel i Dziadek.

– Nie ma – potwierdził Albert. – Projekt „Przetrwanie” zakładał wybudowanie dwunastu schronów.

– Skąd to wiesz? – rzekł Kapłan.

– Byliśmy w Ósemce, tutaj we Wrocławiu. Odnaleźliśmy archiwa, dane... To wszystko ściema.

Ariel zapatrzył się w punkt na stole. Był w szoku.

– Nie wierzę ci – powiedział cicho i spojrzał na Alberta. Ten przypatrywał mu się ostrożnie. – Nie wierzę – powtórzył – to niemożliwe.

– Tak jest, Ariel. – Albert pochylił się ku niemu nad stołem. – I musisz się z tym pogodzić.

– Nie... to nie może być prawda!...

– To jest prawda...

– Kurwa, nie! – wybuchnął nagle, waląc dłonią w stół. – I na co to wszystko?! Za co zginęło dziewięciu z nas, co?! Za co, do ciężkiej cholery, pytam?!

Albert wytrzeszczył oczy.

– Dziewięciu?...

– A tak, właśnie dziewięciu! – Oddychał głęboko, próbując się opanować. – Pięciu ludzi z bloku południowego zastrzelili jeszcze po czeskiej stronie, jeden uciekł, ale wątpię, żeby przeżył. A z naszych najpierw był Rudy, potem David... A na końcu Daniel...

– Daniel nie żyje?!

– Nie żyje... Kazałeś mu opiekować się Oliwką. I zginął, ratując jej życie.

Oliwia spojrzała krótko na zbitego z tropu Alberta i spuściła wzrok.

– Skąd mogłem wiedzieć...

– No właśnie – rzucił Ariel wyzywająco, ale opamiętał się.

Chwila milczenia była trudna do zniesienia.

– Dziewięciu ludzi... – wyszeptał Benny. – A od nas nikt. Cała piątka przeżyła.

– Gdzie pozostali? – powiedział Kapłan.

– Rozpierzchli się. Poszli na północ. Gdy dotarliśmy tutaj, przyznali nam rację, pożegnali się i... poszli. Po prostu poszli...

Ariel kręcił głową.

– Mimo wszystko szybko z nas zrezygnowaliście.

Dawni mieszkańcy Dziewiątki milczeli.

– A jeśli to dalej trwa? – po raz pierwszy odezwała się Oliwia. – Jeśli cały czas wysyłają ludzi na pewną śmierć?

Albert rozłożył bezradnie ręce.

– Nic nie poradzimy. Nie mamy możliwości.

Ariel przymknął oczy. Nagle wstał energicznie.

– Nie mogę... – rzucił tylko i wybiegł z mieszkania. Albert po chwili wyszedł za nim.

Ariel z dłońmi schowanymi w kieszeniach szedł szybko przed siebie. Łzy cisnęły mu się do oczu, gardło ścisnął bolesny skurcz drażnącej jego serce beznadziei.

– Ariel! – usłyszał za sobą.

Nie odwrócił się. Szedł dalej.

– Stary, zaczekaj! – Albert dogonił go.

– Daj mi spokój...

– Ariel, posłuchaj mnie...

– Nie chcę!...

– Czeka! – Zatrzymał go mocnym szarpnięciem za bark.

Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy.

– O co masz do mnie pretensje? Zrozum mnie. Co innego miałem zrobić? Iść w góry tylko z Bennym i co – próbować wyważyć włącz? Do cholery!

Ariel chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Machnął ręką i odszedł. Albert ponownie go dobiegł.

– Ariel, proszę cię... Głupio mi, że tak wyszło z Oliwią. Pogadam z nią...

– Daruj sobie. Nie jesteś wart, żeby nawet na ciebie spojrzeć.

– Okej, okej... Tak właśnie jest. – Odetchnął i spojrzał w ciemniejące niebo. – Słuchaj, ja ułożyłem sobie tu życie, przecież wy też możecie. Nie macie po co wracać do schronu. Są gotowi was odstrzelić, gdybyście się tam zjawili.

– Nie masz dowodów, że było tak, jak sobie to wymyśliłeś.

– A wiesz chociaż, jak tam wrócić? Co? Pomyślałeś o tym?

Ariel nie odpowiedział.

– Ci ludzie sami spisali się na straty. Naprawdę, odpuść sobie. Zamieszkał tutaj i żyj sobie spokojnie przez długie lata.

Ariel patrzył na niego beznamiętnym wzrokiem.

– Nie tego nauczyło mnie pustkowienie, wiesz. Nie masz pojęcia, kogo spotkaliśmy, co przeżyliśmy. Ty szybko znalazłeś swoje miejsce. Nie musiałeś iść pod wiatr, nie patrzyłeś psu w oczy. My to przeżyliśmy, daliśmy radę. I damy radę wrócić i uratować pozostałych.

Albert westchnął.

– Proszę cię, wróć do nas. Marta... niewiele z tego rozumie, ale... nie powinna się denerwować.

Ariel zrozumiał.

– Nie traciłeś czasu – prychnął.

Albert unikał jego wzroku.

– Słuchaj, dotarliśmy tu po trzech tygodniach od wyjścia ze schronu. Ci ludzie pomogli nam. Potem poznałem Martę i...

– Jasne, jasne... Nie tłumacz się.

Albert patrzył na niego wyraźnie bolejącym wzrokiem.

– Chodźmy, stary... – powiedział łagodnie.

Ariel z oporami, ale skierował się z powrotem ku domowi Alberta. Gdy weszli do środka, zaskoczył go widok Oliwii rozmawiającej z Martą. Obie uśmiechały się. To dodało mu nieco otuchy. Usiedli do stołu. Atmosfera nieco się oczyściła.

– O co chodzi z tymi fartuchami? – zapytał Dziadek, wskazując na jasne kurtki Alberta, Marty i Benny'ego.

– To dla ochrony – odrzekł Albert. – Nasza wioska ma... no... mały problem.

– Z czym?

– Z laboratorium „Złotniki”. Pamiętacie, co to było?

Kiwnęli głowami.

– No więc, to co znamy z lekcji historii to tylko wierzchołek góry. Wydaje nam się... w zasadzie mamy pewność, że przeprowadzali tam – a może nawet wciąż przeprowadzają – jakieś szatańskie eksperymenty.

– Na ludziach? – rzekł Ariel.

– No... I te... eksperymenty... mutanty... czasami nas nachodzą. Te kombinezony to pancerze biologiczne. Tu je znaleźliśmy, nie mam pojęcia skąd się wzięły. Ale wolimy je zakładać, gdy idziemy przepędzić te stwory.

– Stwory?

– No... w połowie ludzie, a w połowie... cholera wie... zwierzęta?

– Mieszkańcy wioski panicznie się ich boją – wyjaśnił Benny. – W podzięce za pomoc patrolujemy teren nad lotniskiem i przepędzamy je.

– Jak to robicie?

Albert uśmiechnął się lekko.

– Wystarczy trochę pokrzyczeć, pohłasować. I uciekają.

– Pohłasować? – skrzywił się Ariel.

– No... ale z drugiej strony boimy się, że jeśli jest ich więcej i jakby ruszyły większą chmarą, to... nie wiem... mogłoby być różnie. Na razie nie dają powodów do paniki, ale do niepokoju jak najbardziej.

Ariel strzelił brwiami. Brzmiało to co najmniej dość niewiarygodnie.

– Co zamierzacie? – zapytał Benny, spoglądając kolejno na mieszkańców Dziewiątki.

Ariel westchnął.

– Nie wiem. Musimy się zastanowić, pogadać...

– Jeśli chcecie, możecie spać u nas – rzekła Marta.

– Nie chcemy... być wam ciężarem – bezwiednie powtórzył słowa pana Krajana.

– Ale to żaden kłopot!...

Ariel spojrzał po towarzyszach, zatrzymał wzrok na Oliwii. Ta skinęła lekko głową.

– Dobrze, skoro tak...

– Ale najpierw musicie nam wszystko opowiedzieć – zakomenderował Albert.

Tak też zrobili.

Rozmawiali bardzo długo. Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć opowiedzieli ze szczegółami o całej swojej wyprawie. Nie raz wzruszyli swoich słuchaczy, sami także płakali. Konwersacja trwała do późnych godzin nocnych.

Przez resztę nocy Ariel nie spał dobrze. Co rusz budził się, przewracał na drugi bok. To, co zasugerowała Oliwia o działaniach Rady Schronu, domysły Alberta i słowa Benny'ego o Trzynastce nie dawały mu spokoju. Gdy przebudził się po raz kolejny, na dworze było już jasno. Nie budząc nikogo, wyszedł na zewnątrz.

Szedł pograżony w myślach aż dotarł do starego lotniska Wrocław–Strachowice, jak poinformowała go wyblakła tablica informacyjna. W oddali dostrzegł wysokie, białe mury dawnego kompleksu laboratoryjnego „Złotniki”. Przeszedł przez dziurę w metalowym płocie i szedł dalej wokół portu lotniczego.

Rozpamiętywał wydarzenia, jakich był uczestnikiem, konfrontował swoje poglądy z tym, czego dowiedział się wczoraj. Był w kropce. Z jednej strony nie chciał już dłużej wędrować. Był zmęczony. Chciał odpocząć. Smolec temu sprzyjał. Ale z drugiej – w schronie zostawił ludzi, których znał i którzy znali jego. Nie miał wielu przyjaciół, dwóch najbliższych stracił w trakcie wyprawy. Jednak poznał tamtych na tyle, że mógł stwierdzić, iż to po prostu dobrzy ludzie. Nie zasługiwali na wyrzucenie z domu, śmierć z żadnego powodu. Zwłaszcza urojonego.

Słońce było już wysoko. Szedł, sam nie wiedząc jak długo, aż dotarł do rzeczki już poza terenem lotniska. Nieopodal dostrzegł mały zagajnik. Usiadł na solidnym kamieniu tuż przy brzegu i zapatrzył się w leniwie płynącą wodę strumyka. Dumał.

Nagle z zamyślenia wyrwał go jakiś odgłos. Ktoś wyraźnie się zbliżał. Cofnął się pod niewielką skarpe z piaszczystej ziemi, z ponad której swobodnie opadały na dół obsypane świeżymi liśćmi wiotkie gałęzie pobliskiej wierzby.

Nieznajomy podszedł niemal do miejsca, w którym skulił się Ariel. Najwyraźniej stanął tuż nad nim, bowiem wierzbowe witki poruszyły się. Chwila milczenia.

– Pięknie tutaj, prawda? – usłyszał dość wysoki, ale z pewnością męski głos.

Odpowiedział mu zaś taki, który zmroził krew w żyłach Ariela. Dziwacznie zniekształcony, głęboki jak u mężczyzny i jednocześnie delikatny niczym kobiecy. Do tego towarzyszyły mu dziwne pomruki.

– Tak, lubię tu z tobą przychodzić.

Ariel zamarł w bezruchu z kolanami podkurczonymi pod samą brodę. Czy to był jeden z tych mutantów, o których mówił Albert?

Słuchał.

– Wiesz... – zaczął „ludzki” głos – tak sobie marzę, że jesteśmy... jak to mówił Profesor?... aha – w siódmym niebie...

Odpowiedział mu cichy pomruk.

– Że jesteśmy tam, bo nadszedł odpowiedni czas. I w sam raz razem tam trafiliśmy.

Kolejny pomruk.

– Też o tym marzysz?

– Tak – odparł „nieludzki” głos. Ariel usłyszał jednak przebijający zeń smutek. Mężczyzna chyba także, bo odparł, bardziej stwierdzając niż pytając:

– Nadal nie masz przekonania?...

Właściciel „nieludzkiego” głosu odrzekł dopiero po chwili:

– Ty chcesz więcej, chociaż to, co masz, jest w sam raz dla ciebie.

– Dlaczego tak mówisz? – podniósł głos mężczyzna. – Nie wierzysz w moje uczucie?

– To nie tak – zawył mutant żałośnie i westchnął. – Brak mi sił, żeby o to walczyć. Nikt tego nie popiera.

– I co z tego?!...

– To z tego, że płaci bardzo drogo każdy, kto wybrał, żeby nic nie tracić.

– Gadasz jak Profesor – odrzekł mężczyzna po chwili. – Nie rozumiem cię...

– Natan... – westchnął mutant... – dlaczego mnie nie zostawisz w spokoju...

– Bo sobie i jemu to udowodniliśmy. Ty udowodniłaś.

– Co takiego?

– Że stać nas na miłość dłuższą niż tydzień, Kleo. Twierdził, że to niemożliwe, a my to udowodniliśmy.

Kleo zamruczała niepewnie.

– To znaczy...

– To znaczy, że cię kocham, Kleo. Bez względu na wszystko.

– I chcesz tego?

– Tylko przez cały czas! – wykrzyknął Natan, śmiejąc się.

Prawa noga Ariela, która od jakiegoś czasu zaczęła drętwieć, nagle zsunęła się po piasku. Zapadła cisza. Czy stojący ponad nim to usłyszeli? Ariel zamarł w bezruchu. Usłyszał odgłos oddalających się kroków. Wreszcie po kilku niemiłosiernie wlekących się minutach postanowił wyjść z kryjówki. Ostrożnie wyjrzał ponad niewielką skarpe i rozejrzał się. Nikogo nie zauważył. Chyłkiem wygramolił się wyżej i już zmierzał w kierunku, z którego przyszedł, gdy nagle jego uszu dobiegły ciche, szybkie kroki. Nie zdążył się nawet obrócić, gdy ze złowrogim warknięciem skoczyło na niego i powaliło boleśnie na plecy budzące trwogę stworzenie. Postury człowieka, lecz o porośniętej grafitową sierścią twarzy, przypominającej nieco kocią, i długich pazurach wbijających mu się teraz w ramiona. Najprawdopodobniej Kleo wpatrywała się w niego żółtymi oczyma. Nie było w nich jednak złości, raczej dystans, przenikliwość i... zaniepokojenie. Gdzieś poza nią Ariel dostrzegł zbliżającego się nikłej postury mężczyznę.

– Kleo?

Mutant zamruczał.

– Kim jesteś?

– Nie jestem wrogiem – odparł przygnieciony do ziemi obywatel Dziewiątki. – Mam na imię Ariel... Ja...

– Podśluchiwałeś nas.

– Tak... ale nie chciałem tego. Byłem tam jeszcze zanim przyszliście.

– To cię nie usprawiedliwia.

– Tak, wiem... przepraszam. Przestraszyłem się...

Kleo ucisnęła go nieco mocniej.

– Nie!... Nie ciebie... Po prostu... Nie znam was.

Kleo zmarszczyła brwi. Ariel starał się unikać jej przeszywającego wzroku, ale było to trudne, gdyż trzymała swoją głowę jakieś dwadzieścia centymetrów nad jego. Mimo to dostrzegł, że posiada także czarny gruby ogon. Poza tym była bardzo ładna, jeśli można tak określić kogoś tak osobliwego.

– Mieszkasz w Smolcu?

Ariel nie od razu skojarzył.

– Co... ach, tak... To znaczy, jesteśmy tam od wczoraj, więc...

– Zabierzemy cię do Profesora.

– Gdzie?...

– Do kompleksu. Profesor się ucieszy.

– Ale...

– Spokojnie, nie stanie ci się krzywda.

Kleo nad wyraz sprawnie powróciła do pozycji stojącej. Wyciągnęła rękę. Ariel z wahaniem chwycił ją, dźwignął się na nogi. Dziwne uczucie.

– Ja... naprawdę przepraszam...

– Zapomnij – przerwał mu Natan. – Chyba nie muszę nas przedstawiać, co?

Ariel uśmiechnął się blado.

– Istotnie.

– A więc chodźmy.

Udali się w kierunku lotniska, po czym skręcili nieco w prawo, obchodząc stary port wzdłuż dziurawego ogrodzenia. Następnie skierowali się w stronę sukcesywnie powiększających się białych budynków laboratorium „Złotniki”.

Przez drogę praktycznie nie rozmawiali, Ariel zauważył jednak, że Kleo i Natan wymieniają między sobą pełne uczucia spojrzenia. Poczul się trochę nieswojo, poza tym nie opuszczały go – a wręcz wzmagaly się – niepokój i trwoga. W końcu nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się zmierzyć w dawnym kompleksie badawczym. A i na ucieczkę brakowało mu teraz odwagi.

Na miejsce dotarli po pół godzinie żwawego marszu. Laboratorium robiło wrażenie. Ogromne, wysokie na kilka metrów, białe ściany muru oślepiły w słońcu. Przeszli przez wejście, po tym jak Natan wprowadził odpowiedni kod na numerycznej klawiaturze tuż obok masywnych drzwi.

Oczom Ariela ukazała się jasna przestrzeń wypełniona takimi budynkami. Było pusto. Chodnikiem wyłożonym beżową kostką brukową skierowali się najwyraźniej do centrum kompleksu, najwyższego ze wszystkich budynku, górującego nad wieloma mniejszymi. Mijając kolejne laboratoria, Ariel czuł się jak w labiryncie. Rozglądał się dookoła z najwyższym zaciekawieniem, które chwilowo wyparło strach. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Nie dostrzegał jednak innych ludzi ani podobnych Kleo mutantów.

Po chwili dotarli do miejsca docelowego i weszli do wewnątrz. Sterylnie czysty korytarz mógł ich powieść w trzy strony, Natan i Kleo wybrali tę na wprost. Dotarli do windy, która zawiozła ich na czwarty poziom pod ziemią. Gdy weszli do kolejnego przestronnego i bielutkiego pomieszczenia, Arielowi zaparło dech w piersiach. Wokół spacerował co najmniej tuzin podobnych Kleo stworzeń. Zajęte swoimi sprawami nawet nie dostrzegały pojawienia się pośród nich kogoś obcego. Pracowały przy komputerach, próbkach, różnorodnych specjalistycznych sprzętach. Jak to w laboratorium.

Natan sam udał się do widniejącego z przodu, przeszklonego pomieszczenia, ustawionego nieco wyżej, jakby na katedrze. Ariel pozostał z Kleo, oczekując. Zaczął się denerwować. Po chwili z gabinetu naprzeciw wyszedł Natan w towarzystwie niskiego staruszka w kitlu i z białą brodą.

– Witaj, jakże mi miło! – Dziadek uścisnął dłoń Ariela. – Wszyscy nazywają mnie tutaj Profesorem, więc niech tak zostanie. Jak ciebie zwać?

– Ariel.

– Wspaniale, wspaniale. Zapraszam cię do mojego gabinetu. Ach, w końcu...

– Przepraszam, ale... ja nie bardzo rozumiem, dlaczego tu jestem. Profesor zmarszczył czoło.

– Jak to? Sprowadziliście go tutaj wbrew woli? – zwrócił się do Natana i Kleo.

Natan szybko wytłumaczył zajście znad rzeczki.

– Hm... – zastanowił się Profesor. – Niemniej... skoro już tu jesteś, Arielu... mieszkasz w Smolcu, prawda? – upewnił się.

– Można tak powiedzieć.

– Tak bardzo zależy mi na dotarciu do tych ludzi. Mógłbyś mi w tym pomóc...

– Przykro mi, ale nie zamierzam narażać moich przyjaciół na kłopoty.

– Kłopoty? Nie, nie... jeszcze nie rozumiesz, ale wszystko ci wyjaśnię. Czy zechcesz mnie wysłuchać?

Ariel zawahał się.

– Nie wiem, jak mogę panu pomóc.

– Zawsze warto spróbować.

– W porządku – odparł po chwili.

– Chodźmy zatem. Tak...

Udał się do windy. Ariel za nim, dopiero po chwili dostrzegł, że Kleo i Natan w międzyczasie gdzieś zniknęli. Profesor z uśmiechem na twarzy wywiózł go – tym razem w górę – na szóste piętro. Z oszklonej windy mógł teraz obserwować „Złotniki” w całej okazałości. I jeśli z poziomu zerowego robiły niemałe wrażenie, to z góry wręcz olśniewały. Industrialne dzieło sztuki sprzed wojny.

Profesor zaprowadził Ariela do – na pierwszy rzut oka zupełnie nieprzystającego do reszty kompleksu – niewielkiego pokoiku, wypełnionego książkami, kwiatami, z wysłużonym biurkiem pod oknem skierowanym na pobliskie lasy.

Profesor usiadł za biurkiem, wskazując Arielowi fotel. Był najwyraźniej tak zaaferowany, że nie zauważył, iż spoczywa na nim stos encyklopedii. Ariel grzecznie podziękował.

– Tak, tak, wspaniale... – Profesor, mamrotał pod nosem, wpatrując się w swoje splecione palce.

– Co jest takie wspaniałe? – zapytał Ariel po chwili przyglądania się naukowcowi.

– Wreszcie mogę porozmawiać z człowiekiem z zewnątrz. – Profesor podniósł wzrok.

– Do tej pory nie mógł pan?

– Nikt się tu nie zbliża. To cud, że w ogóle ktoś mieszka nieopodal... tuż za lotniskiem.

– Ze względu na...?

– Tak. Ze względu na rezultaty eksperymentów. *Homo animalis*. Musisz jednak wiedzieć, że to nie ja byłem ich prowodyrem. To bardzo ważne.

– Dlaczego?

– Ponieważ ja teraz próbuję zapewnić im godne życie.

– A kto za to odpowiada?

– Wielu. Zaczęło się od Steinmana i jego badań nad przeszczepem mózgu. Gdy zwerbowało go wojsko, strategia działań kompleksu zmieniła się. Początkowo zakładaliśmy absolutne oddanie sprawie ludzkiej. Udało nam się opracować w pełni funkcjonalne substytuty narządów wewnętrznych. To było niespotykane... – Oczy Profesora zaiskrzyły się, ale mówił spokojnie. – Na początku wieku było to możliwe, ale nie na taką skalę. Mogliśmy zrobić wszystko, przeszczepy narządów nigdy nie były tak dostępne. Dla wszystkich. Ale stąd już niedaleka droga do kreacji. Aktu stworzenia.

– Stworzyliście... sztucznego człowieka? – Ariel nie potrafił objąć tego umysłem.

– Z początku było ciężko. Ale... tak, w końcu się udało. Choć nie do końca.

Ariel słuchał z otwartymi ustami.

– Oczywiście, mieliśmy wątpliwości natury etycznej, ale... tworzyliśmy historię. Zmienialiśmy świat! Chcieliśmy odrodzić polskie społeczeństwo. W zasadzie – otrzymaliśmy takie zadanie...

– Od rządu?

– Tak, od samej Arletty Novac. Myślę, że... jej celem w istocie było stworzenie superżołnierza, niemniej zadanie było też takie, żeby zwiększyć populację rdzennych Polaków.

– Sztucznymi ludźmi?

– Już wtedy zacząłem mieć wątpliwości. Chodziło przecież o oszukanie natury. Zbudowanie wylęgarni ludzi? Hodowli dzieci?

Profesor wstał i podszedł do okna.

– Jak mówiłem, z początku było ciężko. Musieliśmy zmierzyć się i pokonać niemożliwe. Samą naturę. Badania trwały latami. Głównie ze względu na krew, a w zasadzie jej brak. Po latach badań opracowaliśmy sztuczną krew. Znaleźliśmy sposób.

Ariel był wstrząśnięty, ale z drugiej strony także zdumiony, że Profesor mówi o swoich niebotycznych dokonaniach tak beznamiętnie.

– Wówczas dowiedziałem się, że w innej części kompleksu przeprowadzane są eksperymenty na ludziach i zwierzętach. Naukowcy próbowali łączyć geny za pomocą radiacji. Opracowano odpowiednią metodę wykorzystywania promieniowania. To było dla mnie za wiele. Postanowiłem odejść. Ale akurat wtedy wybuchła wojna.

Profesor wrócił na miejsce.

– Laboratorium przetrwało wojnę, dzięki zaawansowanemu systemu obronnemu. Ja musiałem pozostać w kompleksie, ale odseparowano mnie od wszelkich badań. Pozostali naukowcy pracowali dalej. Udało im się stworzyć sztucznego człowieka. Lecz nie odnieśli sukcesu. Frankenstein nie myślał. Przez to był martwy.

Profesor zamyślił się na moment. Westchnął i kontynuował.

– Wciąż przeprowadzali też eksperymenty na ludziach i zwierzętach. Pochłonięły mnóstwo istnień. W podziemiach znajdowało się istne zoo ze wszelkimi możliwymi, dającymi się wykorzystać gatunkami zwierząt. Nawet słoniami.

Ariel przypomniał sobie nocną wizytę nieznanego pod Kielcami.

– Trwało to latami. Naukowcy wykorzystywali wszystkich ludzi, których udało im się odnaleźć na zewnątrz, w końcu zaczęli sięgać po personel laboratorium. Czułem, że jestem następny w kolejce. Ale wówczas *homo animalis* zbuntowały się. A raczej... po prostu wykorzystywały swoją wrodzoną niedoskonałość. Agresję.

Ariel zmarszczył brwi.

– Naukowcy nie potrafili jej okiełznać. Nie znaleźli sposobu. Dlatego polegli.

– A pan jak przeżył?

– Udało mi się przekonać *homo animalis*, że nie chcę ich krzywdy. Staralem się je zrozumieć. Dotrzeć do źródła gniewu, który w nich drzemał. Nadal drzemie. Po całym tym czasie doszedłem do wniosku, że to niezgoda na to, czym się stali jest podstawą ich agresji.

– Ale... ci homo...

– *Homo animalis* – pomógł mu Profesor.

– Tak. Ci, których widziałem na dole nie wydawali się groźni. Podobnie Kleo...

– Gdy pochłonięci są pracą, ich agresja maleje. Poza tym otrzymują codziennie dawkę specyfiku, który opracowano jeszcze przed wojną. Oczywiście do celów wojskowych. Jego działanie polega na kontrolowaniu stanu umysłowego i emocjonalnego. I jest jeszcze coś...

Ariela oblała fala gorąca.

– Profesorze – wszedł mu w słowo – czy... ten specyfik mógł się wydostać na zewnątrz laboratorium?

– Oczywiście. Osobiście przekazałem go grupie ludzi, którzy zjawili się tutaj jakiś czas temu. Młody człowiek... o takim niespotykanym imieniu...

- Kajetan?
- Tak! Właśnie tak!... A skąd ty to wiesz?
- Profesorze, to nie było rozsądne z pana strony...

Ariel opowiedział o Kibolach i Kościelcu pod Częstochową. Profesor był mocno poruszony.

– Nie wiedziałem... – powiedział cicho, gdy Ariel skończył. – Tak pięknie mówił o swojej misji, o odradzaniu pustkowi... przekonał mnie. Tak mi przykro...

Naukowiec zasepił się. Ariel przyglądał mu się badawczo.

– Profesorze... dlaczego Kleo nie przejawiała wobec mnie agresji? Nie była wtedy niczym zajęta, nie pracowała...

– Kleo... – Profesor był przez chwilę w innym świecie. – Kleo... ach, tak... już wiem. To jest właśnie ten trzeci aspekt, o którym nie zdążyłem ci powiedzieć, a który również działa uspokajająco na *homo animalis*. Hormon szczęścia.

– To znaczy, że... wystarczy, że będą szczęśliwi?

– Tak. – Profesor uśmiechnął się słabo. – Kleo... zakochała się w Natanie, moim asystencie. Dzięki temu jej agresja spadła prawie do minimum. Niestety, jest jeden szkopuł.

– Jaki?

– Według wszelkich statystyk, jakie udało mi się odnaleźć, okres zauroczenia na tyle silnego, by wyizolować odpowiednio trwałe hormon szczęścia trwa za krótko w stosunku do czasu potrzebnego na jego ekstrakcję z organizmu. Brakuje mi czasu, by opracować dla nich lekarstwo. Dlatego też chciałbym przekonać ludzi mieszkających w Smolcu, by poznali i spróbowali zaakceptować *homo animalis*. Może któryś z nich... może zbliżą się do siebie w takiej liczbie, że będę miał wystarczająco dużo czasu i obiektów do badań.

Ariel zmrużył oczy i przypatrzył się Profesorowi. Dziwny człowiek.

– Innymi słowy – miłość jest lekarstwem?

– Hormon szczęścia, uaktywniający się w organizmie na skutek intensywnych doznań emocjonalnych. Czyli... w zasadzie tak.

– A może po prostu pozwoli im pan kochać?

Profesor spojrzał na niego niepewnie.

– Co masz na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałem – odparł Ariel. – Wie pan, w trakcie swojej podróży nauczyłem się, że miłość to... kiedy jedno spada w

dół, to drugie – ciągnie je w górę. Może po prostu dość eksperymentów, a więcej... życia.

Profesor milczał.

– A Kleo i Natan... wydaje mi się, że ich uczucie trwa więcej... niż tydzień.

Naukowiec zmrużył oczy.

– Proszę z nimi porozmawiać. Pójdziemy tam razem – dodał po chwili.

– Słucham?...

– Do Smolca. W przeciwnym razie nigdy tam pan nie dotrze. Razem przekonamy tamtejszych ludzi, że... *homo animalis* nie są groźni, jeśli tylko okaże im się serce, a oni będą mogli zrobić to samo.

Profesor patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Naprawdę zrobisz to dla mnie? Dla nas?

– Zrobię. Musimy sobie pomagać, prawda?

Profesor wstał i z szerokim uśmiechem uścisnął dłoń Ariela.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Nie musi pan. Trzeba się liczyć z tym, że mieszkańcy Smolca nie będą mieli ochoty nawiązywać tak... osobliwych znajomości.

– Słusznie, ale...

– ...warto spróbować – dokończył Ariel, powtarzając słowa Profesora z początku ich rozmowy. – Mam jednak prośbę.

– Tak, oczywiście, cokolwiek...

– Zapewne macie tutaj ogromne bazy danych, także historyczne.

– Zgadza się.

– A rządowe?

– Niektóre. Czego potrzebujesz?

– Projekt „Przetrwanie”.

– Zapraszam. – Wskazał na drzwi.

Ruszyli ku wyjściu.

– Co konkretnie cię interesuje? – zapytał Profesor, gdy zbliżali się do windy.

– Sam pochodzę ze schronu. Wysłano mnie i moich przyjaciół w poszukiwaniu Schronu Numer Trzynaście. Ale wiem też, że może on wcale nie istnieć...

– Schron trzynasty? – Profesor zatrzymał się w pół kroku. – Zaczekaj – rzucił i podreptał z powrotem do swojego pokoiku. Po chwili był już powrotem.

Ariel spojrział na niego pytająco.

– Jedźmy, musiałem coś sprawdzić.

Zjechali na pierwszy poziom podziemny. Po wyjściu z windy oczom Ariela ukazała się ogromna przestrzeń od góry do dołu wypełniona komputerami. Podeszli do konsoly, za którą usiadł Profesor. Naukowiec wystukał na klawiaturze odpowiednie polecenia. Ariel przypatrywał się pojawiającym się na ekranie informacjom.

Po kilku minutach poszukiwań, Profesor pokręcił głową.

– Niestety, muszę cię zmartwić. Projekt „Przetrwanie” zakładał wybudowanie tylko dwunastu schronów. W Warszawie, Gdańsku, Lublinie, Kielcach, Krakowie, w Tatrach, na Śląsku, we Wrocławiu, w Sudetach, w Łodzi, Poznaniu i Toruniu. – Przed oczyma Ariela pojawiła się mapa przedwojennej Polski z zaznaczonymi schronami. Zauważył też, że w Czechach nie ma polskich schronów. – Wspomina się o tajnym schronie rządowym, ale to zastrzeżona informacja. Nawet teraz nie mam do niej dostępu. Być może chodzi o bazę wojskową w Bornem Sulinowie? Niestety, nie potrafię ci pomóc.

Ariel pokiwał głową. Nie ucieszyły go te informacje.

– A czego konkretnie poszukujesz?

– Technologii naprawczej dla mojego schronu.

Profesor westchnął.

– Nie dysponujemy czymś takim. W Ósemce też raczej tego nie znajdziesz. Wiem, że gdy ludzie zaczęli z niego wychodzić, wszystko wywlekli na powierzchnię. Chcą odbudować Wrocław.

Ariel milczał. Cholera...

– Tuż przed wojną rząd miał mnóstwo tajemnic, które dopiero później dały skutek – mówił dalej Profesor. – Projekt „Atom” nigdy nie miał zostać ukończony w sposób, jaki przedstawiali. Elektrownie nigdy nie miały powstać, przynajmniej nie takie, by zasilaly energią miasta. Od samego początku miały to być silosy z rakietami jądrowymi. W wielu miastach pod przykrywką potężnych zakładów pracy kryły się w istocie tarcze antyrakietowe. Wszystko dywersja, wszystko dla zmylenia przeciwników.

Profesor zadumał się.

– Wiesz, dlaczego nie chciałem dalej uczestniczyć w badaniach?

Ariel skierował na niego wzrok.

– Bo czułem smak krwi w ustach.

Profesor wymienił z nim spojrzenie.

– Bałem się. Ale nie o siebie. Bałem się samego siebie. Traktowałem życie jak obowiązek. Cudze życie. Nie zważałem na cierpienie. Nie słyszałem słowa „nie”.

Westchnął. Wyciągnął coś z kieszeni. Zniszczoną książkę w ciemnej okładce. Wręczył ją Arielowi. Wyblakłe litery układały się w dwa słowa. Pismo Święte.

Ariel spojrzał pytająco na naukowca, ale ten mówił dalej o czym innym.

– Wiesz, że afrykańscy Masajowie, gdy trafiali do więzień państw próbujących ich podbić, umierali w nich, bo uważali, że nigdy już nie ujrzą słońca? Nie zabijali się. Umierali z rozpacz. To okrutne, co powiem, ale...

– Niech pan tego nie mówi – przerwał mu Ariel. – Wiem, co chce pan powiedzieć. Ale każdy, kto się urodził ma prawo do życia. A miarą człowieczeństwa dzisiejszych ludzi okaże się stosunek do *homo animalis*.

– Masz rację – odrzekł Profesor po chwili. – Chcesz się dowiedzieć czegoś jeszcze?

Ariel spojrzał po ekranach przed sobą. Nagle gdzieś rzucił mu się w oczy charakterystyczny znak. Litera chińskiego alfabetu.

– Tak. Czy znajdują się tutaj jakieś informacje o Chińczykach?

– O... ach, już wiem. Masz na myśli „przesiedlenia”?

– Ciekawi mnie, co się z nimi stało. Wiem, że przetrwali wojnę, wiem też, że prawdopodobnie opuścili tereny, które im przydzielono.

Profesor uderzył w klawisze.

– To interesujące... – Zmrużył oczy. – Według tych danych niemal rok temu do jednego ze schronów dotarł sygnał... z Chin. Dziwne, myślałem, że łącza zostały zerwane. Laboratorium ma kontakt tylko z dwoma schronami – Czwartym i Ósmym.

– Czwarty to kielecki – powiedział Ariel. Coś się klarowało.

– Zgadza się. Do tej pory milczał, ale było pewne, że otrzymuje od nas przekazy. Spróbuję wysłać sygnał... Hm... Wygląda na to, że terminal odbiorczy został wyłączony. Schron Numer Cztery jest pusty.

Ariel zmarszczył brwi.

– Wynieśli się.

– Najwyraźniej.

– Idą do Chin?

Profesor wzruszył ramionami.

– Wcale bym się nie zdziwił.

– No, to wszystko jasne – odetchnął Ariel. – Dziękuję.
Skierowali się ku windzie.

– Na nas także pora – rzekł Ariel. – Ruszymy, kiedy tylko będziecie gotowi.

Profesor skinął głową. W jego oczach Ariel wyczytał słowo „dziękuję”.

Udali się na podziemny poziom czwarty, gdzie w przeszklonym gabinecie Ariel oczekiwał na Profesora i jego podopiecznych. Trwały gorączkowe przygotowania.

Spojrzał na otrzymaną Biblię. Nie wierzył w Boga. Nie była mu potrzebna. Kapłan z pewnością zrobi z niej użytek.

Odruchowo przekartkował kilka stron. Dostrzegł odręczne pismo. Mimowolnie zaczął czytać. W niedługo potem pierwsze łzy zaczęły skapywać na cienkie kartki.

Odnalazł swój Schron Numer Trzyście.